

ANNA BOLECKA

Concerto d'amore



Anna Bolecka

CONCERTO D'AMORE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-76-5

Projekt okładki: Anna Mirska-Kalinowska

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Spis treści

[Rozdział I – ON](#)

[Rozdział II – ONA](#)

[Rozdział III – ON I ONA](#)

Rozdział I – ON

Już tylko kilka miesięcy dzieliło mnie od przekroczenia magicznej liczby trzydzieści trzy.

Trzydzieści trzy lata. Wiek Chrystusowy. W czasach tryumfującej młodości był to wiek zobowiązujący. Tylko do czego, zadawałem sobie pytanie. Dobra praca w zagranicznej firmie, małżeństwo, pracująca żona, która mówi biegle trzema językami, dwójka dzieci? To wszystko mieli moi młodszy ode mnie koledzy, ale nie ja.

Mieszkałem w wynajętym mieszkaniu, pracowałem dorywczo jako tłumacz, taksówkarz, przewodnik wycieczek. Moje związki z kobietami były krótkotrwałe i napiętnowane bolesnym niespełnieniem.

Istoty te nie były właściwie jeszcze kobietami. Można by je raczej określić mianem kobiet wirtualnych. Kiedyś, w przyszłości, miała się spełnić ich kobiecość. W chwili bowiem gdy dziewczyna przykuwała moją uwagę, była w wieku, w którym, patrząc na bardzo młode kobiety, mogła powiedzieć: między nami jest ta różnica, że ja jestem od nich młodsza.

Podjeżdżałem po nie, kiedy wychodziły ze szkoły, pospiesznie chowając do torby szkolne kaptcie, z kieszeni wyciągały papierosa i zadawały przede mną szyku. Krótki pocałunek, kiedy niedbale siadały obok mnie w moim starym mercedesie, który kupiłem za zarobione na Zachodzie dolary, jeszcze w tej ostatniej chwili, kiedy miały u nas wartość złotych sturubłówek.

Jechaliśmy do mnie, to znaczy do wynajętego mieszkania. Zwykle była to jakaś obskurna kawalerka z brodzikiem zamiast wanny, na którą w mikroskopijnej łazience nie było miejsca. W lodówce, najmniejszej, jaką mogłem znaleźć, miałem zawsze coca-colę i jakieś wstrętne farbowane płyny, które te dzieciaki uwielbiały. W szklance, zawsze nie domytej, bo zmywanie nie było moją domeną, podawałem im coś z tych napitków i sadzałem jak królowy w moim ulubionym fotelu. Puszczaliśmy też ich ukochaną muzykę, zależnie od tego, co ceniły sobie szczególnie moje młode przyjaciółki.

Nie rozmawialiśmy właściwie, jeśli nie liczyć strzępów słów, pomrukiwań, zdań bez podmiotu i orzeczenia, którymi komunikowaliśmy sobie to, co działo się z nami w czasie minionych godzin. U mnie zawsze była to relacja z oczekiwania na spotkanie, u nich małe szkolne sprawy.

Na moje próby zbliżenia te śmielsze odpowiadały stanowczym: „Nie chce mi się” albo „Potem”, które jednak nie następowało, więc zadowalałem się dotykiem ich drobnych piersi i wdychaniem piżmowej woni ciała. Godziły się na to, nie dlatego że miały ochotę na seks, ale dlatego że pożerała je ciekawość tego, czego jeszcze nie zaznały, apetyt na dorosłe życie, niecierpliwość, żeby już teraz dotknąć tajemnicy pod postacią faceta stamtąd, ze świata pełnego powabu.

Te bardziej nieśmiałe, chcąc pokonać lęk i wstyd, rozsiadały się w fotelu, zarzucając nogi o niewyrobionych jeszcze dziecięcych łydkach, na poręcz i pozwalały mi zaglądać pod krótkie spódniczki, gdzie błyskały białe lub czarne majtki. Nie wychodziłem naprzeciw ich przekornej odwadze. Ze strachu gotowe były pójść na całość, a ja nie należę do tych, którzy sycą się naiwną uległością.

Jedna z najbardziej lękliwych nosiła długie spódnice, ale pod nimi nie miała nic prócz białych pośladków o nieskazitelnie gładkiej skórze i gęstwy czarnych włosów. Uwielbiałem ją i nasza miłość trwała całe sześć tygodni, podczas których wtajemniczałem ją w zasady gry wstępnej, a ona obdarzała mnie gorącymi mokrymi pocałunkami, które były słodkie jak cukierek trzymany w dziecięcej rączce.

Zapraгнаłem ją rozbudzić. Być pierwszym kochankiem, którego piętno będzie nosiła do końca życia. Gdyż jak dotąd pozostała dziewicą. Dziwne zjawisko w dzisiejszych czasach, a

jednak, jak sam się przekonałem, dziewic było wokół więcej, niż mogło się zdawać.

Moje wciąż ponawiane wysiłki pozostawały jednak bez rezultatu. Chciałem wprowadzić ją w tajemnice miłości francuskiej, ale chichotała zawstydzona i zwierzała mi się, że co prawda widziała to na kasecie wideo, którą namiętnie oglądał jej młodszy brat, ale nie mogła uwierzyć, że robi się to naprawdę. Zapewniałem ją, że tak i że jest to całkiem przyjemne, ale udało mi się dotrzeć zaledwie do skraju jej ud. Położyła małą rękę na wzniesieniu łonowym i zrozumiałem, że jeszcze nie nadeszła moja pora.

Kiedy opuszczały mnie te wszystkie zadatki na przyszłe kochanki, te zielone i cierpkie owoce mojej żądz, padałem wyczerpany na łóżko i patrząc w sufit, dopełniałem dzieła. Efekt mojej jałowej rozkoszy zniknął w jednorazowych chusteczkach, których pokaźną ilość wyrzucałem potem do kubła na śmieci. Wreszcie z kieliszkiem białego, koniecznie białego, wina siadałem w swoim ulubionym fotelu i słuchałem Sonat Scarlattiego w najlepszym, jakie znam, wykonaniu Marka Drewnowskiego. Ostatni ślad zapachu tamtych niedojrzałych ciał zniknął, zapomniałem o swoich troskach i pogrążałem się w cudownie prostej i zmysłowej muzyce baroku.

Czego chciałem od tych młodziutkich kobiet? Dlaczego z takim zapałem goniłem za nimi? Czemu odchodziły, umykały mi, wołały swoich niezręcznych rówieśników o zbyt wybujałych lub jeszcze nie wyrosniętych ciałach?

Choć nie przyznawałem się, ile mam lat, wciąż wyglądałem bardzo młodo, a swoją niedojrzałością chwilami nawet im dorównywałem, między nami była przepaść. Szukałem na swojej twarzy, na ciele jakiegoś znaku, któryby wskazywał, że dla nich jestem już starzejącym się wujkiem, a nie towarzyszem ich promiennej nadziei. Zaglądałem do lustra jak zaniepokojona kobieta. Napinałem mięśnie i macałem brzuch, sprawdzałem możliwości własnej potencji. Wszystko było w najlepszym porządku. A jednak wciąż ślizgałem się po powierzchni jak marny łyżwiarz, który wywracając się co chwila, tłucze boleśnie zadek lub swoją naiwną gębę. Mimo to próbowałem znowu.

Chciałem być inny, oryginalny, chciałem różnić się od moich kolegów i przyjaciół, których życie, jak mi się zdawało, zamykało się nieodwołalnie, wchodziło w koleiny, z których wypaść można już tylko u kresu, kiedy śmierć skróci tę żalosalną podróż z biletem w jedną stronę.

Bąłem się śmierci. Nie mogłem o niej myśleć. Nie chodziłem na pogrzeby i nie czytałem nekrologów. Szczęśliwie żyję w czasach, kiedy średnia długość ludzkiego życia jest niemal dwa razy dłuższa niż jeszcze sto lat temu. Cóż począłbym wtedy, w tamtych strasznych czasach czterdziestoletnich starców i trzydziestoletnich staruszek?

Młodość, niedojrzałość, gombrowiczowski sztandar zwycięstwa – dziecięce majtki. Przez pewien czas zaczytywałem się „Dziennikami“ Gombrowicza. To była moja biblia. On uwielbił chłopca, ja dziewczynę.

I znów biegłem niczym pies goniący tropy, zziębnięty, ale szczęśliwy, choć nie dla siebie łowił, ale dla swego pana. Tak samo ja nie dla siebie to robiłem, ale dla czegoś, co było poza mną, silniejsze ode mnie, rozkazujące, czego zrozumieć nie byłem w stanie.

Może winna temu była moja matka? Jeśli młody mężczyzna nie może wydorosnąć, zwykle winą obarczamy matkę. Czemu właśnie matkę, tę istotę tak bliską, codzienną jak chleb, słabą albo zaborczą, nadopiekuńczą, a nie ojca, który zwykle sam długo zachowuje swoją infantylną chłopięcość i którego najczęściej nie ma w domu jeśli nie fizycznie, to z pewnością psychicznie? Moja matka jest aktorką. Z niesłabnącym zapałem gra w różnego rodzaju serialach. Dawniej były to role drugoplanowych amantek w produkcjach późnej ery gierkowskiej, potem w tasiemcach według powieści milicyjnych, teraz pierwszoplanowych matek, ciotek i menterek w telenowelach.

Już od kilku lat mieszkam osobno, ale nawet kiedy byłem małym chłopcem, nie zaznałem matczynej obecności. Wciąż jej nie było, wyjeżdżała lub spędzała całe dni na

planie filmowym, opiekę nade mną powierzając przyjaciółkom i gospośiom. Pisała do mnie zabawne listy i przywoziła mi zawsze zaskakujące prezenty. Kochałem moją matkę jak tajemniczą istotę z jakiejś niepokojącej, ale mimo to ulubionej bajki.

Moja matka wciąż jest piękną kobietą. Posyłam jej kwiaty bez okazji i czasem wymieniam z nią informacje przez telefon. Nie martwi się o mnie, nie zrzędzi, nie doradza ani nie prosi o nic. Nie wiem, czy dociera do niej fakt, że jej syn ma, koślawe wprawdzie, ale własne życie. Matka zauważa mnie tylko w tych krótkich chwilach, kiedy jej prześlizgujący się po zjawiskach i rzeczach wzrok przypadkiem zatrzymuje się na mnie. Jej twarz rozjaśnia się pięknym uśmiechem, z którego jest znana, i mówi: „Musimy porozmawiać“, ale nigdy nie rozmawiamy, bo nie mamy na to czasu.

Matka dwukrotnie wychodziła za mąż. Raz za mojego ojca, z którym była trzynastu lat, drugi za pewnego zamożnego Szwajcara, właściciela fabryki tytoniu, a może też czegoś innego. Nie miało to dla mnie znaczenia, bowiem nigdy nie poznałem owego jegomościa. Dla mojej matki okazało się to też bez większego znaczenia. W sprawach materialnych była do tego stopnia niezaradna, że kiedy wkrótce facet okazał się ponurym gburem i matka postanowiła się rozwieść, nie zobaczyła ani grosza z pieniędzy swojego zamożnego męża. Nie dbała zresztą o to, szczęśliwa, że udało jej się wyrwać z tamtego bogatego świata, z kraju bardzo pięknego, w którym ona nie miała nic, ale to nic do roboty. Nikt przecież nie zaangażowałby polskiej aktorki do szwajcarskiej telenoweli, o ile w ogóle ktoś wpadł tam na pomysł produkowania czegoś takiego.

Wróciła więc do Polski, kolejny raz rozwiedziona, bez grosza, i zaczynała po przerwie od nowa. Nie było to takie proste, bo przez ten czas nie odmłodziła i nie mogła już grać drugoplanowych amantek. Cieszyłem się nawet przez pewien czas z tego faktu, licząc na to, że matka przeczuci się na coś bardziej ambitnego. Nie znosiłem seriali, tego zwymiotowanego pokarmu dla ogłupiających widzów. Ale cóż, znów zaczęła grać i tylko raz w ciągu kilku lat udało jej się dostać niezłą rolę w prawdziwym filmie.

Moja kochana mamusia. Czemu miałbym ją oskarżać o to, że nie umiałem sobie znaleźć kobiety z prawdziwego zdarzenia i coraz bardziej uzależniałem się od młodych ciał niedojrzałych dziewcząt. Co gorsza, potrzebowałem podnieć coraz młodszych i ze zgrozą myślałem o tym, że wkrótce nie wystarczą mi uczennice starszych klas liceum. Będę musiał przeczucić się na klasy pierwsze, a potem może nawet na podstawówkę. Dalej widziałem siebie już tylko w celi więziennej, maltretowanego przez współwięźniów.

A przecież nie byłem Humbertem Humbertem. Nie krzywdziłem tych dzieciaków. Nie manipulowałem, nie wywierałem presji, nie stosowałem przemocy, fizycznej ani tej gorszej, psychicznej. Rzadko tylko pozwalałem sobie na seks. Ja tylko chciałem być kochany. Tak. Rozpaczliwie pragnąłem miłości, czułości, zrozumienia. Miałem też ukrytą potrzebę opieki nad tymi młodymi istotami. Zbliżałem się wszak do wieku Chrystusowego. Wkrótce miałem przekroczyć pierwszy próg w życiu mężczyzny.

I wtedy właśnie poznałem ją. Miała piękne i proste imię Dorota. Nie wiedzieć jednak czemu, kazała mówić do siebie Andrea. Kiedy chciałem się z nią poprzekomarzać, mówiłem do niej Jędrusia. Najpierw nie cierpiała tego, ale potem przywykła. W chwilach naszej czułej przyjaźni i w moich marzeniach nosiła zawsze to dziwne imię – Jędrusia. W porównaniu z moimi małolatami była po prostu stara. Miała prawie dwadzieścia dwa lata. Studiowała w Akademii Sztuk Pięknych i zajmowała się fotografią. Była utalentowana, lekkomyślna, wiecznie zakochana i śliczna.

W tamtym czasie nie mogłem sobie znaleźć mieszkania, które by odpowiadało moim duchowym potrzebom, a także finansowym możliwościom. Rozpytywałem wśród znajomych, szukałem w ogłoszeniach, oglądałem dziesiątki miejsc, a każde wprawiało mnie w coraz bardziej ponury nastrój.

Pewnego dnia stałem na ulicy, nie mogąc się zdecydować, czy przejść na drugą stronę, czy nie – przypadłość, która mnie wtedy zaczęła nękać – notoryczne niezdecydowanie – kiedy tuż obok mnie stanęła kobieta. Najwidoczniej nie miała wątpliwości, czego chce, bo bardzo pewnym krokiem weszła na jezdnię, ledwie unikając śmierci pod przejeżdżającym samochodem. Poczulem silny przyływ adrenaliny jak wtedy, gdy cały nasz organizm szykuje się do nagłej obrony. Straszna myśl, że nie zatrzymałem jej w porę i mogła leżeć tu właśnie teraz z roztrzaskaną głową. Ona jednak stała na chodniku i najwyraźniej nie przejmowała się tym, co mogło się wydarzyć.

Przyjrzałem się jej. Była to osoba w nieokreślonym wieku, w jakimś stroju w kolorze fiołkowym. Było to coś niby suknia albo płaszcz, dość ekscentryczny. Włosy miała potargane, a może była to fantazyjna fryzura, którą rozwiały wiatr. Kobieta spojrzała na mnie. Widziałem to wyraźnie. A więc nie jest całkiem roztrzepana, pomyślałem. I nagle zobaczyłem, jak rozkłada ramiona, niczym linoskoczek balansujący na wysokości, a potem podnosi je w górę, wykonuje nimi jakieś ruchy, dla mnie niezrozumiałe, dla niej całkiem oczywiste. Trwało to dłuższą chwilę. Nikt nie zwracał uwagi na tę kobietę, zapewne niegroźną wariatkę, tylko ja patrzyłem na nią jak zahipnotyzowany.

Zdawało mi się, że ona tymi tajemnymi gestami daje mi znaki. Nagle znieruchomiała z ramionami rozrzuconymi szeroko. Stała tak długą chwilę, a na jej twarzy widziałem wysiłek i rosnące zmęczenie. Może, pomyślałem, ona właśnie teraz, na moich oczach, dokonuje czegoś niezwykłego. Może utrzymuje świat w równowadze?

Kobieta opuściła ramiona i ruszyła przed siebie. Poszedłem za nią. Szła w stronę dzielnicy starych zaniedbanych domów. W bramach stali jacyś drobni pijackowicie. Atmosfera robiła się coraz bardziej podmiejska, prowincjonalna, życie przystawało i zwalniało biegu. Gdzieś tam pozostały tu jeszcze fragmenty ulic brukowane kocimi łbami. Inaczej brzmiały kroki na krzywych chodnikach, inaczej przemieszczał się wiatr w wąskich uliczkach. Szedłem, przystosowując kroki do ruchu kobiety przede mną.

W pewnej chwili spostrzegłem, że weszła w bramę jakiegoś domu. Przyspieszyłem i w ostatniej chwili zobaczyłem, jak przechodzi przez niewielkie podwórze z figurą Świętego Antoniego i znika w furtce prowadzącej z pewnością na drugą stronę domu. Tu zatem postanowiła mnie zgubić, pomyślałem, i stanąłem, rozglądając się dookoła.

Na drewnianych drzwiach do klatki schodowej wisiła kartka. Podszedłem bliżej i od niechcenia przebiegłem po niej wzrokiem. „Wynajmę pokój z wygodami. Pierwsze piętro, po lewej“, przeczytałem. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Wewnątrz pachniało lekko stęchlizną, kurzem i czymś niejasnym, co przypominało mi zapach z dzieciństwa.

Pokój okazał się obszernym pomieszczeniem z ubikacją i umywalką. Wchodziło się do niego z przedpokoju, z którego drzwi prowadziły do dwóch jeszcze innych mieszkań. Szerokie weneckie okna, sufit z gipsowymi stiukami i podłoga z jasnych sosnowych desek, które zobaczyłem w pokoju, gdzie wprowadził mnie dozorca, sprawiły, że postanowiłem wprowadzić się od razu.

Początkowo byłem sam. Moi sąsiedzi gdzieś wyjechali. Panowała tu cisza zakłócana tylko czasem odgłosami małej bocznej ulicy, na którą wychodziły okna mojego pokoju. Stawałem często przy oknie i patrzyłem, wybierając taki kierunek, żeby w kadrze znalazł się fragment starego kościoła z wąską wieżyczką. Czulem się jak mieszkaniec paryskiego Montmartre' u albo innego mitycznego miejsca, gdzie ludzie przeżywają swoje odwieczne historie.

Nadal wiodłem życie takie jak przedtem. Praca bez zobowiązań, miłość lekkomyślna i młoda. Równie młoda jak moje partnerki. Teraz jednak częściej spotykałem dziewczęta skłonne spełnić moje gorące pragnienia. Nie wiem, czy więcej intuicji, czy doświadczenie sprawiło, że wiedziałem już, jak podejść do tych młodziutkich kobiet, jak wkraść się w

sentymentalny, a zarazem niepokojąco pragmatyczny świat ich uczuć.

Byłem teraz znawcą dziewczęcego ciała i specjalistą od rozbudzania uśpionej zmysłowości. Niewiele różniły się od siebie, przyjemnie gładkie lub z plecami pokrytymi młodzieńczym trądzikiem, pachnące kosmetykami, których próbki wyrywały z kobiecych pism, lub zapachem własnego onieśmienia. Stałem się zatem smutnym kolekcjonerem znaków szczególnych, a wreszcie także i fetyszystą, ale nie nazbyt konsekwentnym. Wszystkie te damskie szmatki, maskotki, pluszowe misie i fotografie, które zostawały mi po kolejnych dziewczynach, zaczęły mi się mylić. Nie umiałem już dopasować rzeczy do imion, imion do osób, i tak mieszało się to wszystko we mnie i mojej szafie, pełne chaosu.

Wszędzie wokół aż kipiało od miłości. Każdy kochał na swój sposób. Pary dobierały się według tajemniczego planu, który mógł się wydawać prosty i oczywisty jedynie dla jakiegoś oka obserwującego wszystkie te manewry ze znacznej wysokości. Moi żonaci rówieśnicy, kumple i przyjaciele, wkraczali w ten etap swojego życia, kiedy zaczyna się szukać innej kobiety. To był czas pierwszych zdrad. Każdy z nich był pewien swojej tajemnicy i tego, że własna żona jest mu wierna. Wiedziałem, że ulegali złudzeniom, żony musiały zdradzać, bo inaczej gdzie ich mężowie znajdowałiby partnerki swoich pozamałżeńskich romansów? Miałem nad nimi przynajmniej tę przewagę, że nie cudzołożyłem. Żony moich przyjaciół nie interesowały mnie zupełnie.

Któregoś dnia, w tydzień być może po moim wprowadzeniu się do pokoju z wygodami, leżałem jeszcze w łóżku, dosypiając jakąś zarwaną w pubie noc, kiedy z półsnu wyrwała mnie rozmowa w przedpokoju. Najwyraźniej nie domknąłem drzwi, bo głosy docierały do mnie blisko i wyraźnie. Głos mężczyzny był jakiś cichszy, słabszy, ale głos dziewczyny, dźwięczny, melodyjny i zmysłowy, sprawił, że poczułem nagłą rozkosz, jak we śnie, kiedy nic nie staje na przeszkodzie naszym pragnieniom. Leżałem bez ruchu. Głos otulał mnie jak miękkie kokon. Wszystko, co mnie więziło, nie dawało spokoju, co kazało mi pędzić do przodu w jakąś mroczną otchłań, znikło na tę chwilę, kiedy tak unosiłem się kołysany głosem dziewczyny. Moja rozkosz nie miała nic wspólnego z seksem. Była nie znanym mi dotąd błogostanem. Chciałem, żeby trwała bez końca. Cóż, skończyła się wkrótce. Głos zamilkł. Osoba opuściła najwyraźniej przedpokój, wychodząc z domu. A ja musiałem zwlec się z łóżka i zacząć nowy dzień.

Od tej chwili było jednak inaczej niż dotychczas. Coś zmieniło się w moim życiu, choć ja sam nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy, ulegając, jak dawniej, starym nawykom.

Moje życie zawodowe weszło w utarte koleiny. Wieczorami jeździłem taksówką, w dzień oprowadzałem wycieczki Japończyków, opowiadając im o dawnej chwale i minionej potędze naszego miasta. W niedzielę tłumaczyłem artykuły do pism naukowych i kwartalników dla intelektualistów. Był to właściwie jedyny mój kontakt ze światem dorosłych i odpowiedzialnych. W każdej wolnej od tych zajęć chwili oddawałem się uprawianiu własnej młodości i niedojrzałości. Mój pokój z wygodami zaczęły odwiedzać licealistki, ale szybko zniechęcały się moim ascetycznym trybem życia. Wkrótce też przekonywały się, że nie jestem ani bogaty, ani sławny i żadna z ich koleżanek nie widziała mnie nigdy w telewizji. Zwłaszcza to ostatnie stawiało mnie w niejasnej sytuacji i jedna z moich młodocianych przyjaciółek wypomniała mi to wprost. Musiałem jakoś przełknąć tę gorzką pigułkę prawdy i wzmożłem jeszcze swoje gorączkowe starania.

Byłem przecież owładnięty kobiecością. Byłem zakochany w tych młodych piersiach, brzuchach gładkich i napiętych, w tych udach stulonych lub rozrzuconych szeroko, w krągłych lub kościstych kolanach, dłoniach jeszcze nieśmiałych, oczach z mocno zaciśniętymi powiekami lub szeroko otwartych, żeby lepiej widzieć to, co dzieje się dokoła. Wędrowiec po nie przetartych ścieżkach, zaczarowany początkiem, nie ukształtowaniem, niedojrzałością własną i cudzą.

Zdawało mi się, że jestem wytrawnym kochankiem. Wiedziałem, że lepszy, śmielszy i

przynoszący więcej rozkoszy, jest ruch z dołu ku górze niż z góry w dół. Lepiej rozchyłać, otwierać, zgłębiać niż ścisnąć, zamykać, ślizgać się po powierzchni. Dolna część ciała może pozwolić sobie na spontaniczność, górna niech będzie uważna, skoncentrowana. Należy raczej prowadzić i kierować niż poddawać się i przystosowywać.

Tak. Byłem owładnięty kobiecością, ale tak niewiele o niej wiedziałem. Życie wewnętrzne tych dziewcząt, jeszcze niejasne, nie posiadające formy ani wyrazu, było dla mnie płaskie jak ściana bez drzwi. Obijałem się o nią, nie wiedząc, jak dostać się do wnętrza. Co gorsza, w tych nie kończących się próbach uwodzenia zagubiłem gdzieś własną rozkosz. Zawsze uważny i obok, zawsze świadomy i pod kontrolą – czułem się pusty niczym skorupka, z której wypłynęła zawartość. A wszystkie te młodociane zdobycze były jak owadzie preparaty wbite na szpilkę mojego badawczego spojrzenia.

Powoli zaczynałem zdawać sobie sprawę ze swej dwuznacznej sytuacji: młody, ale już nie dość, lekkomyślny, ale nieco zgorzkniały, zmysłowy, ale zimny i wyrachowany.

Któregoś dnia wracałem do swojego mieszkania z jakiegoś spotkania. Otworzyłem drzwi i znalazłem się w przedpokoju, gdy z drzwi naprzeciwko wychodziła właśnie jakaś młoda osoba. Domyśliłem się, że wreszcie sąsiadka wróciła na dobre, i oto spotykamy się, najbardziej naturalnie, w holu. Stanęliśmy twarzą w twarz i nie było innej możliwości jak tylko się odezwać. Zrobiła to pierwsza.

– To ty jesteś tym nowym lokatorem?

– Tak – wydukałem, nie mogąc zdobyć się w tej chwili na nic oryginalniejszego.

– No to fajnie – stwierdziła. – Jestem Dorota. Mów do mnie Andrea.

Przechodząc obok, dotknęła mojego ramienia, jakbyśmy się znali od dawna i dodała jeszcze:

– To wpadnij do mnie wieczorem.

I poszła. Stałem przez chwilę, dziwnie wzburzony. W czasie tej krótkiej chwili nie mogłem nie zauważyć, że dziewczyna jest bardzo ładna, i zupełnie inna niż te, które znałem do tej pory. Na czym jednak ta inność miałyby polegać, nie miałem pojęcia. Przecież jeszcze nie znałem Doroty, czy też Andrei, jak więc, mijając ją w holu, mogłem sobie wyrobić o niej tak stanowczą opinię? Postanowiłem, że nie będę się nad tym dłużej zastanawiał, i pozostawię rzeczy swojemu biegowi. To też nie było w moim stylu. Całkiem skonsternowany wszedłem do mieszkania.

Wydało mi się puste, smutne i zaniedbane. Zacząłem porządkować papiery na biurku. Panował na nim nieopisany bałagan. Sam nie wiem, jak radziłem sobie z tłumaczeniami i oddawałem je na czas. Wycinki z gazet, notatki, słowniki, stare listy, fotografie, resztki śniadania sprzed dwóch dni. Poczułem się okropnie. Zgarnąłem to wszystko i zrzuciłem na podłogę. Do kosza z tym, postanowiłem.

Jakaś kartka wysunęła się spomiędzy innych. Podniosłem ją. List od matki. Nawet nie pamiętałem, że dostałem od niej list i nie mogłem sobie przypomnieć, o czym do mnie pisała. Gonię w piętę, pomyślałem i zacząłem czytać. Po chwili zorientowałem się, że w ogóle tego listu nie czytałem, zatrzymując się tylko na początku i odkładając go na potem.

„Mój kochany Osiełku, nie przyszedł Mahomet do góry, to góra przychodzi do Mahometa. Czemu się nie odzywasz? Nie wiem, co się z Tobą dzieje. Dopiero od Cezarego (mój ojciec) dowiedziałam się, że zmieniłeś mieszkanie. Czy to oznacza jakąś istotną zmianę w Twoim życiu? Nie pytam po to, żebyś się tłumaczył. Tak tylko, chcę pogadać, ale jak wiesz, mam mało czasu, dlatego piszę ten list. List to zawsze list.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI